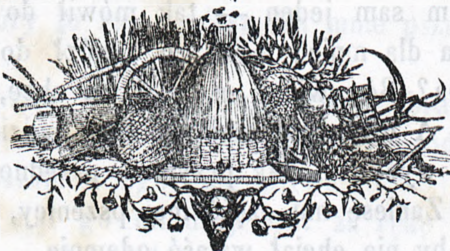
Tom III.  Nr. 14.

11. Listopada 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Braterska miłość.

W dalekiej od nas krainie żyło dwóch braci, a każdy z nich miał gospodarstwo wielkie i trzody liczne, bo nie zbogaciły ich ludzkie łzy i narzekania, jeno własna praca i zapobiegliwość. Starszy brat miał żonę, pobożną niewiastę, i czworo dzieci, a młodszy sam żył jeszcze w wybielonej chacie, bo nie mógł znaleźć dziewki według swojej woli. Obejścia ich były obok siebie, a bracia żyli w świętej zgodzie, i pomagali sobie we wszelakiej pracy.

Błogosławił Pan Bóg ziemi, gdzie bracia zamieszkali. Po spokojnej zimie i po wesołej wiośnie, nastało skwarne lato i ozłociło kłosy po zagonach. Wychodzili żeńce na pola, a z żeńcami wychodzili bracia, i żęli chleb Boży przy wesołych śpiewach. A skoro ręce opadały i słonko zaszło za góry, to pracowite woły zwoziły do domu pozłociste snopy.

I był dostatek w całej krainie, i ludzie składali dzięki Najwyższemu Bogu za urodzaj i za dobrą dolę.

A przecież późno w nocy nie mógł zasnąć brat młodszy, bo różne myśli chodziły mu po głowie.

— Ja jestem sam jeden — tak mówił do siebie — i za wiele tego ziarna dla mnie, com go zwiózł do stodoły. Cóż dla mnie potrzeba? Bóg widzi, majątku nie chcę, jeno tyle, aby wyżyć uczciwie. A owo brat mój ma żonę i dzieci, i wszystko to musi odziać i wyżywić. Jak przyjdzie przednowek, może mu głód dokuczyć. Zaniesę mu część mej pszenicy, ale tak, żeby nie widział, bo by nie chciał wziąść odemnie.

I powstał młodszy brat z pościeli, poszedł do stodoły, wziął kilka snopów pszenicy na siebie, i zaniósł do stodoły brata, a tak cicho, że nikt tego nie widział, jeno Pan Bóg na gwieździstem niebie. A dwa razy tyle waży u Pana Boga dobroć serca, w cichości okazana.

W ślicznych snach przespał brat młodszy resztę nocy; a skoro na drugi dzień równo z słonkiem wstał i pacierz ranny zmówił, ruszył obejrzeć swoje gospodarstwo. A kiedy przyszedł do stodoły, zadziwił się mocno, bo oto pszenica była jakby nie ruszana i żadnego snopka nie brakowało, choć w nocy kilka z nich bratu swemu zaniósł. Więc upadł na kolana i sławił Imię Pańskie, bo myślał, iż Bóg mu przymnożył pszenicy.

— Będzie dla brata — pomyślał sobie w duszy, i zaniósł drugiej nocy znowu kilka snopków starszemu bratu.

A tak przez cztery nocy chodził i zanosił, i nigdy snopków mu nie ubyło.

Aż oto piątej nocy, skoro znowu wyszedł z snopkami na plecach, ujrzał koło stodoły brata cień jakiegoś człowieka ze zbożem na plecach. Myślał, że jaki zły człowiek zachodzi szkodę bratu wyrządzić; więc rzucił swoje snopy, i przyspieszył kroku. A kiedy się przybliżył do owego człowieka, poznał w nim brata starszego, a ten dźwigał pszenicę na plecach i zmierzał ku stodole jego.

— Dokąd ty niesiesz snopy tak późno? — zapytał młodszy brat.

— Wybacz mi — odrzekł starszy — ja myślałem sobie w nocy, iż ty jesteś sam jeden, i nikt ci nie może pomódz w gospodarstwie: a ja mam żonę i dzieci, co dopomogą i do-

pilnują. Pan Bóg dał mi zebrać wiele, więc chciałem tobie zanieść kilka snopków, żeby ci nie zabrakło.

— A który to raz niesiesz dla mnie pszenicę? — zapytał młodszy.

— Już piąty — ozwał się starszy brat i spuścił oczy, jakby co złego uczynił. — Ale Bóg wynagrodził mi to stokrotnie, bo mi pszenicy nigdy nie ubywa.

A wtedy ujął go młodszy brat za rękę i zaprowadził do owego miejsca, gdzie leżały snopy.

— Patrz — ozwał się tu radośnie — miłość to nasza przymnażała nam pszenicy. Jam tobie nosił, a tyś mi oddawał w dobroci twego serca i nic nie wiedzieliśmy o tem.

Łzy radości puściły się z oczu obydwóch braci. Padli sobie w objęcia, i płakali w radośnym uścisku, a w górze niebiescy Anieli śpiewali chwałę Bogu, że taką miłość świętą zaszczepił w sercach braci.

Kochajmy się bracia! Miłość braterska stwarza szczęście i spokój w tem życiu; miłość braterska jest jak żelazna odzież na piersi: ona obroni od ognia i wody, i od złości srogiego nieprzyjaciela; miłość braterska przysparza cnót na ziemi, a chwałę niebieską gotuje w niebie.

TĘSKNOTA.

Czy mnie matka porodziła
  Pod nieszczęsną gwiazdą?
Czy mi wiedźma określiła
  Rodzicielskie gniazdo?

Całe nocy, dnie i lata
  Płaczę bez ustanka;
Przyszły swaty, — nie chcę swata,
  Męża, ni kochanka.

Oj! pojechał, oj — pogonił
  Maciek na wojenkę;
Ni zasłonił, ni obronił,
  A rzucił panienkę.

Sama kołacz piekłam w drogę,
  I szkaplerzyk dała —
Odjechał ci mnie niebogę,
  Com go tak kochała!

W dzień Najświętszej Matki Boskiej,
  Siła gromnic jaśnie;
Z wszystkich świeczek całej wioski,
  Moja pierwsza gaśnie.

Zima idzie, liść opada,
  W polu pies skowyczy;
Nocą pućka na dach siada:
  „Pójdź Marychno!“ krzyczy.

*

Pewno zanim ja zobaczę,
Kochaneczku, ciebie!
Pierwej mateńka zapłacze,
Na moim pogrzebie!

Oj! przyśpilcież mi nad głową
Rozmarynu ziele, —
Suknię białą — a różową
Wstążkę na wesele!

Zaśpiewajcie mi piosneczkę,
Moje siostry młode;
Pochowacie swą dzieweczkę,
Zagasłą urodę.

A lubemu jak zastuka
Do chatki matczynej,
To powiedźcie, niech nie szuka
Marysi jedynej.

Leży ona przy kościele
Pod zimną mogiłą;
Świętą ziemię zielska wiele
Nad nią umaiło.

Nad mogiłą, w nocnej dobie,
Błądzi płomyk mały; —
To jej dusza tańczy sobie
W sukieneczce białej!

T. L.

MĄDRA.

Na *Matkę Boską zielną* wielki był odpust w Grodzińcach, i ze wsi Kawęczyna prawie wszystko, co żyło, gromadnie poszło: gospodarze, gospodynie, parobcy i dziewuchy. Baszajowej Zośka to i przodowała wszystkim, raźna z niej była dziewucha, a suknie miała czyste i nowiuśkie, wstęgi i kwiaty gdyby żywe. No, nie dziwota! boć Bajaszowie mieli podostatkiem wszystkiego: dobytek śliczności i kawał roli, co się na niej żytko i pszeniczka rodziła, że i wąż-by się nie przedarł.

Dziewucha była dobra i ładna, i popadła też w oko Frankowi Rzepce, a pracowity był to parobek i syn ludzisków poczciwych. W żniwo kiedy pójdzie, zawsze pierwszy na zagonie, a rolę uprawi kiejby pod cebulę.

Gromadka dziewuch i parobków szła sobie przodem, gwarząc wesoło: i śmiechy tam były i żarty. Tuż przy Zośce szedł Franek, a przy nim brat jej, Jakóbek. Dalej za młodymi poważnie i powolniej szli gospodarze i gospodynie, i także po swojemu sobie gadali.

Pozostało się tylko we wsi parę starych niewiast, dzieci, kulawy Grześko i niewidomy Wojtasiuk.

Z południa, zrobiwszy porządek domowy i przystawiwszy wieczerzę, gospodynie: Sobczyna i Wronkowa, sąsiadki i kumoszki, usiadły przed domostwem, a w koło zebrały się chłopczęta i małe dziewuszki. Dziewczęta pobrały się za ręce i kręciły się w koło, śpiewając i chichocząc wesoło, chłopcy grali w kręga, a czasem to i wyczubili się należycie, ku wielkiej uciesze dziewcząt.

Jeszcze słonko było wysoko, kiedy raz po raz ktoś z odpustu nadciągnął. A kumoszki zagadywały do wracających ciekawe, jak też odbył się odpust? Dowiedziały się, że ludzi było gdyby mrowia; że ani część szósta nie weisnęła się do kościoła; że księża na smętarzu spowiedzi słuchali, a pocili się chudziaczkowie, bo słońce doskwierało i par był wielki.

— A kazanie, jakież tam było? — zapytała Wronkowa.

— Śliczności! wszyscy płakali — odpowiedział jej Szymon Garstka — jak to Przenajświętsza Panna, Matka Boska, królowa Korony polskiej, w tryumfie do nieba wziętą została, i największej dostąpiła chwały.

— I dużo było księży?

— Ej, naliczyłem ich piętnastu.

— A szlachty?

— Widziałem trzy powozy i pono z pięć bryczek. A różnego narodu z miasteczka to gdyby nasiał.

Kumoszki jeszcze dłużej wypytywać chciały, ale Szymonowi pilno do domu było.

W tem Franek z zarzuconą przez ramię sukmąną nadchodził szparko, jak gdyby go kto gonił.

— No, widzicie, jak to on rychło powraca! — zawołała Sobczyna.

— I sam jeden — zdziwiła się Wronkowa. — Hej, Franku, a co tak rychło wracacie? — zawołała na niego.

— Zośka coś strasznie zaniemogła: coś jej zrobiło się w głowę, że i o Bożym nie wie świecie, a rozpalona gdyby głownia.

— O dla Boga, dla Boga! — wyrzekły obie kobiety — i gdzież ona została?

— U znajomych w Grodzińcach. Jakóbek po nią jedzie i po matkę, która, nieboga, jeno ręce załamuje i płacze.

— Nie dziwota, mój Jezu, nie dziwota!

— Palnę też zaraz po doktora — i Franek zabierał się pójść dalej.

— Po doktora! A po co jej doktor? Na jakie licho? — zawołała Sobczyna — zły urok ktoś rzucił na dziewuchę, i potrzeba, żebyście jej *mądrą* przywieźli.

— Ej, co tam gadacie! — odparł Franek — skwar i par był okrutny, to i zaszkodziło dziewusze.

— No, widzicie go: cielę chce być mędrsze od krowy! To zły urok, miły chłopcze, nic innego, jeno urok. A przywieziecie doktora, to ją lekami zabije.

— Po mądrą, po mądrą jedźcie! — dodała także Wronkowa swoje trzy grosze — co tam wie doktor! Mądra, to przecież ma sobie od Boga dane, a doktor, zwyczajnie jak doktor.

Kumoszki jeszcze tam więcej gadały, ale Franek się zawinął i już ich więcej nie słuchał.

Baszajowa nadjechała z Zośką, która żadnej przytomności nie miała i w okropnej leżała gorączce. Franek przywiózł doktora, ten jej przystawił pijawki, czy bańki, i dał chłodzące lekarstwo.

Potem przyszła sama pani dziedziczka Kawęczyna, i pogadawszy z doktorem, kazała przynieść lodu z lodowni, i kładli go Zośce na głowę.

Dziewusze też zaraz i lepiej było: przytomność poczęła wracać, i raz po raz pić wołała. Pani ze dworu przysłała soku z malin, zaprawili z nim wodę, i matka podawała chorej, skoro zażądała.

Ale chociaż tak wszystko ku dobremu się miało, to wszelako Sobczyna i Wronkowa wciąż wodę mąciły i o mądrej gadały. A gdy doktor odjechał, to i poczęły Baszajowej cudeńki wygadywać, że biedne matczysko aż oszołomiły, i ani wiedziała, czemu wierzyć.

— A nie oglądajcie się jeno na Franka — powtarzała Sobczyna — że on gada na mądrą: pstro on ma w głowie, a myśli że wszystkie pojadł rozumy.

— A przecież chodził na naukę do księdza proboszcza — wtrąciła Baszajowa.

— To i co? Nie wierzy w czary, nie wierzy w mądrą, bo niby szlacheckiego zarwał rozumu. Bajtała z niego! Nic tu doktor nie podoła: dziewuchę uroczyli i mądrej jej gwałtem potrzeba.

I tak wciąż biednej matce prawiły. To też zmartwiona i obałamucona, wysłała jeszcze przededniem Jakóbka po mądrą, o milę drogi; i przywiózł ją też właśnie, gdy słonko już było na niebie.

— Matusiu — opowiadał matce Jakóbek — a musiałem aż od młynarza dziesięć złotych pożyczyć dla mądrej, bo inaczej nie chciała ze mną jechać.

Baszajowa dłonie złożyła i spojrzawszy w górę, westchnęła:

— A niech tam już, miły chłopcze, byle tylko nasza dziewucha ozdrowiała.

— Otóż to, matusiu, otóż to! — dodał Jakóbek.

Mądra, była to wielka baba, gdyby drab jaki, a zaraz wołała o kawę: bo ona tego nałożna, i wielką niby też to udawała panią. A napiwszy się kawy, której Baszajowa od ekonomowej przyniesła, to i zaraz słodkiej zażądała wódki.

— O, dla Boga! a po co też ten lód na głowinie dziewusze! — wykrzyknęła, stawając przy łóżku Zośki, i poczęła rękoma machać — a zrzucić mi go zaraz, bo dziewczynie mózg zamrozicie.

I przelękniona Baszajowa od razu go zrzuciła. Potem zaczęła mądra coś tam zażegnywać chorą i jakieś cudaczne szeptać androny. Gdybyć ją tylko była przeżegnała, to i owszem, boć w tem jest chwała Boża — ale ona szeptała a szeptała jakieś niestworzone rzeczy. Odrzuciła lekarstwo i nie pozwoliła jej pić wodę ze sokiem, a nawarzyła tam czegoś i prawie gwałtem dziewusze w gardło wlewała. To też Zośka znowu

straciła przytomność, majaczyła Bóg tam wie co wszystko, i we wielką wpadła gorączkę.

Pani ze dworu przysłała dowiedzieć się o zdrowie chorej, i zbyli ją powiedzeniem: że niby lepiej.

W południe przyleciał Franek od roboty, a gdy zobaczył mądrą, a Zośkę bez przytomności i czerwoną, gdyby burak, to jeno pięście zacisnął, spojrzał na babę, jak gdyby ją chciał udusić, i wprost do dworu poleciał.

Pani aż ręce załamała z podziwu, gdy jej opowiedział wszystko, i sama zaraz do chorej pobiegła. Mądra widząc, że pani nadchodzi, prędko się do komory schowała. Pani łajała, co się tylko zmieściło: że zabiją dziewczynę, boć widoczne było, że zamiast ustąpić, to choroba wzmogła się znowu.

Odzywał się i Franek, że babę roztrąci, jak ją zobaczy: boć w tem wszystkiem jest oszukaństwo i czysta obraza Pana Boga. Baszajowa poczęła wyrzekać i rozpłakała się serdecznie.

Pani rozkazała chorej znowu lód przyłożyć na głowę i lekarstwo podawać, a usadziła przy niej swoją pokojowę. Zaś Franek ciągle się mądrej odgrażał, a ta siedziała w komorze i wszystko słyszała. To też gdy po chwili z izby wybiegł, i baba zmiarkowała, że go nie ma, to i wyszła dopiero, porwała swoją czerwoną chustkę, koszyk z jakiemiś tam różnościami, i nie powiedziawszy słowa jednego, dalej w nogi, co tylko sił starczyło.

Franek był na wsi, i widział jak zmyka, i jeszcze jej wymyślał. Potem przybiegła dziewuszka Sobczyny i chłopak Wojtusiaka, którzy paśli gęsi na ściernisku, i opowiadali: jako mądra za ogrodami wyrzuciła wszystko zielsko z koszyka, przykucnęła pomiędzy ziemniakami Wronkowej, i ugrzebała ich sobie sporo.

— Oj, złodziejka! zawołały kumoszki.

Doktor przyjechał, gniewał się, że głupiej usłuchali baby, świeże zrobił lekarstwo, i głowę Zośki wciąż lodem okładać kazał.

Powoli wracała Zośce znowu przytomność, i wszyscy się przekonali: jak to ona mądra swojem głupiem zaszkodziła jej szalbierstwem, a jak te leki uczonego prawdziwie doktora okazały się skuteczne.

Franek ręce złożył i *Zdrowaś* zmówił, gdy pod wieczór z pola powrócił, i powiedzieli mu, że Zośce o wiele jest lepiej.

— To widzicie — ozwał się też do obudwóch kumoszek, które przed domostwem Baszajowej stały — to widzicie, że wasza mądra, pal ją kaci, byłaby zabiła dziewuchę. Co tam taka sekutnica i złodziejka ma umieć? Zkądżeby jej była taka łaska Boża, kiedy ona szalbieruje i ludzi tumani. Co innego doktor, toć to on, mój Jezu, przez długie lata uczyć się musi, nie dospi, nie doje, mitręży się, nieboże, a jeszcze go ta nauka i kupę pieniędzy kosztuje. To też, jak Bóg da, nauczy się przecie różne poznawać chorobiska, i różne tam zdrowe zioła. Byłybyście uśmierciły dziewuchę.

Kumoszki już nic nie odrzekły, i każda w swoją stronę poszła.

Dnia trzeciego Bóg pocieszył Zośkę, bo już na łóżku siedziała, gorączka ją minęła, i zdrowo przemawiała do wszystkich.

Przez tydzień całkiem przyszła do siebie, i odtąd o mądrej już i nikt we wsi całej posłyszeć nie chciał.

Na *Matkę Boską siewną* było wesele Franka ze Zośką — i przez całe dwa dni na nim tańcowali.

Paulina z L. Wilkońska.

Ciekawy Wojtuś.

Bursztyn.

Rymarz Walenty siedział na stołku i naprawiał siodło, a tak już ściegi przeciągał, że mu aż w plecach trzeszczało. W tejże chwili drzwi się otworzyły i weszła Walentowa, niosąc w koszyku mięso i zieleninę z miasta. W jednej zaś ręce trzymała dwa sznurki żółtych bursztynów.

— Moja matuś, co to, co to takiego? — zawołał tuż za drzwiami Wojtuś i wpadł zadyszany do izby.

Nie uważała na niego Walentowa, jeno zbliżyła się do męża.

— Zobacz no, mój stary, czy też to prawdziwe? — odezwała się do niego, pokazując mu bursztyny.

Walenty wziął sznurki do ręki, ważył chwilę na dłoni, poprawił okulary i przypatrywał się im z bliska.

— Prawdziwe — odrzekł w końcu — oddając żonie bursztyny, a Wojtuś przechylił matczyną rękę i przypatrywał się ciekawie onym paciorkom.

— Ale na cóżeś to kupiła? — zapytał pan rymarz.

— Hm, na co — rzekła, uśmiechając się Walentowa — a czyś zapomniał, że jutro świętej Katarzyny?

— No, i cóż z tego?

— A toć przecie imieniny Kasi, mojej chrzestnej — mówiła Walentowa.

— Aha, dobrze, dobrze, zrobisz dziewczynie uciechę — ozwał się Walenty i przyciągał dalej swoje ściegi.

— Co mię ty tak szarpiesz za rękę? — zawołała matka na Wojtusia zabierając się do drugiej izby.

— Bo też ja nie wiem, co to jest — mówił Wojtuś rozciekawiony — przecież to nie perły?

— Nie perły, nie; to są *bursztyny* — rzekł Walenty i spojrzał na zegar, co wisiał na przeciwnej ścianie i kłapał po swojemu.

— A cóż to jest, bursztyn? mój tatusiu — zapytał Wojtuś.

— To się później o tem dowiesz — odparł ojciec — a teraz spojrzyj-no, która godzina?

— Oj, oj, to już ósma godzina, trzeba iść do szkoły — zawołał Wojtuś zafrasowany.

— Więc idź-że teraz do szkoły, a jak wrócisz, to ci powiem, co to jest bursztyn — rzekł Walenty, i zabrał się dalej do swojej roboty.

Wojtuś uwinął się duchem, zabrał książki i czapkę na głowę, i pobiegł do szkoły. Prawie biła jedenasta godzina na kościelnej wieży, kiedy wracał do domu. Nie chciał już Walenty przed obiadem rozpoczynać swojej pogadanki z Wojtusiem, jako

że miał jedną pilną robotę, a skończyć ją wypadało. Dopiero więc po objedzie zaszedł do kuchni, wyciągnął smolną szczypkę z pod pieca, a wyszedłszy na ławkę przed dóm, zawołał do siebie Wojtusia.

— Widzisz tę żółtą żywicę? — zapytał syna, pokazując mu zaschłe żółte krople na szczypce.

— A widzę, to tak zawsze na smolnych szczypkach.

— Otóż *bursztyn*, to także żywica podobna do tej.

— Jak to — zawołał Wojtuś — to bursztyn także ze sosny cieknie?

— Oho, już mi bałamucisz — rzekł ojciec — siedź tylko cicho, a słuchaj.

Wojtuś zamilkł i poprawił się na ławce, a Walenty ciągnął dalej w ten sposób:

— Będzie temu już siła tysięcy lat, że człowiekowi zgoła i zrachować trudno, jak rosły na tej ziemi drzewa, do naszych sosen bardzo podobne. Więc też jak z naszych sosen, tak i z onych drzew zciekała żywica, i zasychała w spore kawałki. Wtedy to, jak już wiesz z historji świętej, zesłał Pan Bóg potop na ziemię. Więc woda szła ogromna, rozbijała góry, wywracała lasy i niosła pnie całemi gromadami. Trwało to tak długi czas i zniszczenie wielkie było na ziemi. Aż oto kiedy już gdzieniegdzie obsychać zaczęło, więc i wodę zawarło w różne koryta, i porobiły się rzeki i morza.

— A cóż się z temi drzewami stało, co to do naszych sosen były podobne? — zapytał się ciekawy Wojtuś.

— Owóż chcę ci właśnie powiedzieć — prawił dalej pan rymarz. — Jedną część tych drzew zagrzebało w ziemi, a inna część zatonęła w morzu razem z piaskiem i z kamieniami. Że zaś na tych drzewach była owa żywica zaschła, o której ci mówiłem, więc i tę żywicę razem z drzewem zabrało. Najwięcej ano musiało zatonąć w tem morzu, kędy nasza *Wisła* płynie, a które się zwie *bałtyckie*, bo tam najwięcej tej żywicy na wierzch wypływa. Otóż tę żywicę łowią tam na tem morzu, i zowią *bursztynem*.

Aleć to nie wszystko, co łowią na wodzie. Siła bursztynu jest jeszcze w ziemi. Drzewo zczerniało i zrobił się

z niego węgiel, a niedaleko tego zwęglonego drzewa znajdują ludzie także bursztyn. Czasem też i osobno się trafia, w piasku i glinie, a to najwięcej po nad brzegi owego *morza bałtyckiego*.

— Proszę taty, a czy to kto był przy tem, że ludzie tak dobrze o wszystkiem wiedzą — zagadnął Wojtuś, kiedy Walenty przestał na chwilkę.

— Być, nie był — mówił pan rymarz — ale się ludzie dowiedzieli o tem z tych pniaków, co w ziemi zagrzebane leżą. Musisz wiedzieć, że każde drzewo to ma inne *słoje*. Jak widzisz, bukowe inne jest jak sosnowe, a to znowu nie takie, jak dębowe; więc też przypatrywali się ludzie tym pniakom, co razem z bursztynem w ziemi zakopane leżą, i zaraz zobaczyli, że one bardzo do naszej sośniny podobne. Że zaś bursztyn był kiedyś taką miękką żywicą, jak nasza sosnowa, to ztąd można widzieć, że w bursztynie znajdziesz często albo muszkę, albo gałązkę, albo kroplę wody. A gdyby bursztyn nie był dawnemi czasami miękki, to jakżeby się to tam dostało.

— A prawda — zawołał Wojtuś patrząc ojcu w oczy.

— Owóż powiem ci jeszcze — kończył Walenty swoją pogadankę — że z bursztynu robią ludzie różne rzeczy. Więc paciorki, jakoś to u matki widział, bursztynki do cybuchów, a okruszków używają do kadzenia, bo przyjemnie pachnie, a także czasem i na słabości pomocne. Za takiemi fraszkami, co to jeno do ubrania, to się i ubiegać nie warto; choć to na dziewczynie ładnie wygląda, kiedy sobie dwa albo trzy sznurki bursztynowych paciorków na szyi zawiesi. Aleć trudno to znaleźć prawdziwy towar; najczęściej oszukują po targach i jarmarkach, i sprzedają paciorki ze szkła żółtego, zamiast bursztynów. Kto się zna na bursztynie, to łatwo go od szkła rozróżni. Bursztyn jest lekki i nie tak przezroczysty jak szkło, a przytknąć go do świecy, to się zaraz płomieniem zapali. Także jeżeli weźmiesz kilka maleńkich kawałeczków papieru i pióra, a bursztyn potrzesz na rękawie i przytkniesz do owych kawalątek, to ci zaraz podskoczą do niego jak żywe.

— No, powiedziałem ci już wszystko — rzekł Walenty

podnosząc się z ławy — więc teraz marsz do szkoły, bo już niezadługo druga godzina.

Zerwał się Wojtuś, podziękował ojcu za historję o bursztynie, i poszedł do szkoły, a po szkole opowiadał innym chłopcom, co słyszał od ojca.

Na drugi dzień zaniosła Katarzyna swojej chrzestnej Kasi owe dwa sznurki bursztynu. Siła było uciechy, kiedy sobie Kasia zawiesiła na szyi owe żółte paciorki, i tak jej było w tem ładnie, że jej aż zazdrościły inne dziewczęta.

Grześ z Mogiły.

GOSPODARSKA POGADANKA.

Stał sobie Wasyl przed chałupą, fajkę w zębach trzymał i spoglądał po Bożym świecie. Aż tu na zakręcie pokazały się koniki, a stary Stanisław szedł wedle wozu i popędzał batem.

Wasyl. Niech będzie pochwalony! Stanisławie, a co to wieziecie?

Stanisław. Wiozę szczepki ze sadu, com je sobie wychował.

W. A gdzież to wieziecie?

S. Posadzę wedle drogi, bo w sadzie drzew już i tak jak nabił.

W. A pocóż-to wedle drogi, na co się to zdało, szkoda waszej pracy Stanisławie.

Stanisław zatrzymał koniki i stanął przed chałupą:

— Pytacie mnie się, mój kumie, z drwinami, jak żebyście nic tego nie rozumieli. Już-ci lepiej że drzewka będą wedle drogi, niż tak, jak wasza wielka grusza, co w środku pola stoi, a takie na niej dziczki rosną, że aż gębę wykręca.

W. Ta ja jej tam nie sadził, a z resztą dzieciska mają uciechę, że sobie mogą wyleźć na drzewo i strząsać gruszczęta.

S. Ale wam się za to pszenica pod grusza nie rodzi?

W. Prawda i to, że tam zawsze nikła bywa, a czasem i nic nie urośnie, ale co tam te parę kłosków, to i mówić nie warto.

S. Posłuchajcież mię kumie. Wasza grusza stoi w samym środku pola, rozrosła się szeroko i taki cień rzuca na zagony, że nic pod nią nie urośnie; jeno się owoc na niej pokaże, to wam pastuchy biegają po pszenicy, rwą zieleninę i słabują, więc jakaż ztąd korzyść dla was i dla ludzi?

W. Ta prawda, że człek z tego nic nie korzysta; prędzej szkoduje.

S. Teraz wam powiem, poco ja chcę sadzić drzewka przy drodze. Prawda, że przy drodze nic nie ma, nawet bydło i trawy nie uskubie, bo krótka. A pamiętacie wy, jak Kuba wracał przed trzema laty w zimie z jarmarku, i jak ugrzązł w śniegu w tej paryi, co za figurą, to się go ludzie już więcej i nie dokrzysili?

U mnie ten jest dobrym gospodarzem, co potrafi każde kawalątko ziemi na użytek dla siebie i dla innych obrócić. Przy drodze nic nie rośnie; a nie będzie to lepiej, jeżeli tam będą drzewka owocowe? Patrzajcież jeszcze, jaki to pożytek dla ludzi na zimę, kiedy śniegi wielkie spadną. Skoro ci zasypie cały świat na biało, to żebyś był nie wiedzieć jaki bywalec i pięćdziesiąt lat w własnej wsi mieszkał, przecież nie potrafisz dopatrzyć się drogi, i łatwo możesz z konikami i z wozem zajechać do rowu, albo co gorzej, to do jakiej paryi, jak owo Kuba przed trzema laty. Gramol-że się wtedy, nieboże, ze sążniowej przpaści! Kiedy zaś są drzewka przy drodze, to niech sobie śnieg wali, jak chce, a zawsze ci choć po koniuszku ze śniegu będzie wyglądać, i wtedy już nie potrzebujesz się strachać, ani złazić z wozu i doglądać drogi, jeno śmigasz sobie pomiędzy drzewka, jak po bitym gościńcu.

W. A prawda, prawda! Widzicież, mój Stanisławie, że ja na to nie myślał! Ale że wam to pastuchy połamią i zepsują, jak zasadzicie.

S. Cóż do licha! A czy to nie ma kija na szkodników? Niech-by tylko każdy gospodarz pilnował dobrze, a skropił uczciwie jednego i drugiego szkodnika, to by im się wnet tego odechciało! Mój kumie, nie darmo mi głowa zesiwiała; bywał ja już w świecie, a w innych krajach tom widział, jak drzewka sadzą koło gościńców i byle jakich dróg, i nikt tam ani listka

nie ruszy. A nie są to takie płonki i dziczki, jak wasza grusza, ale owoc wielki i ładny, coby się i na pańskim stole nie powstydził. I tak zamiast tego gruntu, coby pusto stał, i zielsko na nim rosło, to ludzie mają owoc smaczny i na swój pożytek, i na sprzedaż, za co nie jeden grosz do kalety wejdzie.

W. Mój Stanisławie, a toć to bardzo mądrze. I czemuż to u nas tak nie jest?

S. Widzicie kumie, teraz ich przechwalacie, skorom wam powiedział. A i u nas by tak być mogło, żeby się jeno ludzie nie lenili, a każdy w swoim sadzie chodował szczepki z dobrych owoców, a nie cierpkie dziczki, i potem je wysadził wedle drogi. Pracy nie wiele, a wielki pożytek. A nie mogłoby to tak być, żeby gospodarze ze wsi, jak są, wszystkie drogi drzewkami owocowemi obsadzili, i innego co roku na to wyznaczali, żeby drzewek pilnował i chodził koło nich? Jakby drzewka urosły i obrodziły, wtedy owoc gromadą zebrać, część jedną rozdzielić między gospodarzy, a resztę wysłać do miasta na sprzedaż. Grosz za owoce rozdzielił-by się znowu sumiennie na gromadę, a temu, coby drzewek pilnował, to by się dało dwa albo i trzy razy tyle. Wam się dziwno wydaje, a jakbyście tylko tak raz zrobić chcieli, to by już potem dzieci miały sobie za powinność.

W. Ja przed wami czapkę zdejmę, mój Stanisławie, bo wy bardzo mądrze mówicie. Muszę ja moją gruszę zaraz wyrąbać, i lepiej że ją spalę, niż cobym miał szkodować. Jutro będzie gromadzka narada, więc też wy to na rozum powiedźcie gromadzie, ja będę za wami i namówię jeszcze do tego Walka i Szymona. Co mądra rada, to i mądra, duchem jakoś człowiekowi do głowy lezie. Żebyście zaś nie myśleli, że to u mnie jeno próżne gadanie, to pójdę zaraz z wami, i pomogę wam obsadzić drogę temi szczepami, co owo wieziecie. Sam zaś proszę was, mój kumie, żebyście mi dali parę szczepków z waszej szkółki, a będę sobie w moim sadzie chodował, i da Bóg na wiosnę, znowu trochę wedle drogi obsadzę.

Uradował się bardzo stary Stanisław tą powolnością Wasyla, obiecał mu dać parę szczepków ze swojego sadu, a tymczasem pojechali razem, i obsadzili temi, co były na wozie, owo miejsce

wedle drogi, gdzie przed trzema laty Kuba ugrzązł razem z wozem i z końmi.

Na drugi dzień była wielka narada, a długo się tam sprzeczali i kłócili. Będzie zaś dwa dni temu, pisał mi stary Stanisław, że się nareszcie zgodziła wieś na wszystko, i będą obsadzać drogi drzewkami, da Bóg, na bezrok.

Niech im tam Pan Jezus we wszystkiem dopomoże, bo jak mówię, co mądre, to i ludziom na pożytek i na chwałę Panu Bogu!

RÓŻNOŚCI.

Szczur zjadł żelazo. Pewien kowal wybierał się na parę niedziel do fabryki, a że nie chciał w kuźni zostawiać czterech sztab żelaza, więc dał je sąsiadowi, gospodarzowi, do schowania. Sąsiad schował żelazo do komory, a kowal pojechał.

Wybyły trzy niedziele, wrócił kowal i mówi sąsiadowi o żelazo.

— Mój majstrze — rzecze gospodarz — a toć nie uwierzycie, co się stało! Długo nie zaglądałem do komory, aż raz wchodzę, patrzę — daj go czartu! — szczur, mówię wam, szczur ogromny, jak cielę, siedzi sobie i dogryza ostatniej sztaby!

Kowal zmiarkował, że sąsiad łże, jak się patrzy, ale nic nie rzekł, jeno poszedł do kuźni, i myśli, coby tu zrobić. Kiedy sobie tak głowę łamie, spojrzy, a tu na polu bawi się dziecko sąsiadowe. Wziął więc dziecko do siebie, dał mu sera gumułkę, i schował przez noc w komorze.

Sąsiadowie wołają dziecka całą noc, szukają na drugi dzień, a tu jak nie ma, tak nie ma. Idzie sąsiad do kowala:

— Mój majstrze, nie widzieliście mego chłopca?

— Ho, ho, pewnie go jastrząb porwał, bo tu latała wczoraj ogromna bestyja.

— Nie kpijcie sobie z biednego ojca, gdzież-by zaś jastrząb porwał trzechletnie dziecko?

— A cóż to dziwnego — rzecze kowal — kiedy u nas jeden szczur może zjeść cztery sztaby żelaza, to jastrząb potrafi też i dziecko porwać!

— Mój majstrze, to nie szczur zjadł żelazo, tylko ja go potrzebowałem i zapłacę wam, co się będzie należało.

— A skoro tak, to już dobrze — odrzekł kowal i wyprowadził chłopca z komory.

Gospodarz zapłacił majstrowi za sztaby, i odtąd nie było już słychać o szczurach, coby żelazo zjadały.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**